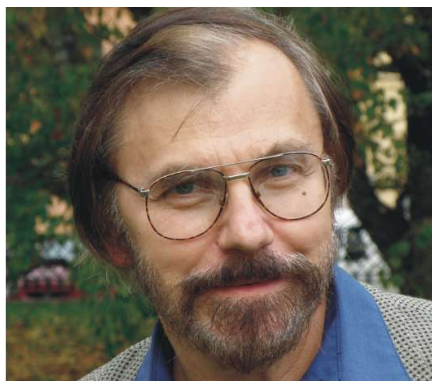


Listy do Pani A. (I 12)



Lot po „Złotą Różę”

Droga Pani!

Nie pamiętam, czy wspominałem już Pani, że Anna Maria Musz otrzymała Nagrodę Złotej Róży im. Jarosława Zielińskiego, od kilku lat przyznawaną przez Fundację Arkona. Jest to nagroda literacka trafiająca do znaczących autorów, którzy nie przekroczyli czterdziestego czwartego roku życia. Fundacji tej prezesuje Stanisław Grabowski, świetny poeta, publicysta, krytyk literacki, działacz społeczny. I tak co roku zbiera się dostojna kapituła w składzie: wspomniany wyżej Andrzej Grabowski, Aleksander Nawrocki, Lam Quang My, Andrzej Walter, Mikołaj Juliusz Wachowicz.

Lam nie pojawił się na uroczystości wręczenia, a szkoda. Może by zaczął śpiewać wiersze Ani po wietnamsku, co nadałoby uroczystości charakter poniekąd egzotyczny.

Całość znakomicie prowadził Stanisław Grabowski, aktywnie wspierany przez Mikołaja Juliusza Wachowicza. Potem laureatka krótko opowiedziała o sobie i zaprezentowała swój wiersz z nagrodzonego tomu „Lot nad miastem”. To świetny tom i – jak powiedziała sama poetka – bodaj najważniejszy dla niej jako autorki.

Prócz niej zostali wyróżnieni stypendiami uczniowie, próbujący swych sił w poezji: Anita Róg, Gabriela Swatek, Marcin Molski. To dobrze, że młodzi piszą, interesują się poezją. Co z tego będzie, trudno dziś wyrokować.

Na sali było sporo osób. A może Pani również tam siedziała? Ale to pewnie halucynacje. W mniej oficjalnej części spotkania wytworzyła się wspaniała atmosfera. Ciekawym rozmowom nie było końca. Długo rozmawialiśmy z Leszkiem Żulińskim, który opowiedział nam wzruszającą historię ze swoich szkolnych lat. Oto była tam nielubiana, ostra, kostyczna nauczycielka. Wszyscy jej nie znosili. Leszek też. Pewnego dnia owa pani, stojąc w oknie tyłem do klasy, opowiadała o Lermontowie. A kiedy się odwróciła, po jej twarzy spływały łzy. Od tej chwili stała się dla wszystkich bliższa, a

Leszek ją wprost polubił. I teraz, gdy to opowiadał, wzruszył się do łez. „Jak to nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi” – skonkludował.

Miło się rozmawiało m.in. z Aleksandrem Nawrockim, prof. Zielińskim, ojcem poety Jarosława, patrona Nagrody, Stanisławem Grabowskim. Była moja córka Małgorzata oraz Przemek, brat Ani. Od razu znaleźli wspólny język. W warszawskiej Ursynotece na Barwnej, jak zwykle, zapanała literacka serdeczna, artystyczna atmosfera. Miałem tam jakiś czas temu promocję jubileuszowego „Spaceru do siebie”, dlatego wiem, o czym Pani pisze.

Ledwo przebrzmiały echa Złotej Róży, pojechałem na Międzynarodową Galicyjską Jesień Literacką. Jak zwykle, z Krysia Konecką umówiłem się w Zawierciu, stamtąd udaliśmy na miejsce. Ja trochę z lękiem, czy nic się nie zepsuje, zwłaszcza że ostatnio miałem niejaki problem z akumulatorem. Naładowałem natomiast duchowo-poetyckie akumulatory. „Ładowarką” stał się najnowszy tom Krystyny Koneckiej „Ultima Thule. Głosy Islandii”. Krystyna wierna jest sonetowi i w tym gatunku zdołała osiągnąć mistrzostwo. Świetne, misternie skomponowane utwory czynią duże wrażenie. Poetka pisze o Islandii, którą jest zafascynowana. Niemal czuje się w tych wierszach islandzkie powietrze, widzi się skały, kratery, surowy krajobraz, falowanie oceanu. Ale w opisach pejzaży kryją się ważne przesłania egzystencjalne, filozoficzne, zachwyty i hołd składany Pięknu. Bardzo Pani polecam ten świetny i z pietyzmem wydany na kredowym papierze tom, bogato inkrustowany kolorowymi, niezwykle oryginalnymi fotografiami. Tom jest polsko-angielski. Wiersze z polskiego oryginału przetłumaczyła Ewa Sherman.

Jak dobrze, że jeszcze takie poetyckie książki co jakiś czas się ukazują. Oczywiście, łatwiej wydać tak pięknie opracowaną książkę, niż wypełnić ją wybitną poezją. Tu istnieje równowaga pomiędzy szatą graficzną a samą poezją Koneckiej, która nawet gdyby była wydana mniej pięknie, nic by nie straciła ze swojego artystycznego wyrazu.

I tak sobie komplementowaliśmy, wspominali, troszkę plotkowali w samochodzie, że ani się obejrzelśmy, kiedy już była Kaśna Dolna, a przed nami zamajaczyły wśród drzew jasne ściany dworku Paderewskiego.

Choć sytuację mamy taką, jaką mamy udało się Andrzejowi Grabowskiemu zorganizować Galicyjską Jesień Literacką. A więc koncert inauguracyjny w Bieczu, potem spotkania w szkołach i duże koncerty w Oleśnie, Starym Sączu, Tarnowie... Jak zawsze uroczyste i przy licznie zgromadzonej publiczności.

W Tarnowie miałem osobliwe *deja vu*. Otóż kilka tygodni przed wyjazdem na Jesień przyśniło mi się sympatyczne małe dziecko. Stało przede mną, a ja poklepałem je po łebku. Po wejściu do sali w tarnowskim ratuszu zobaczyłem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i zaskoczeniu niemal to samo dziecko z mojego snu na szesnasto-

wiecznym portrecie. A przecież znałem ten portret z wielu poprzednich pobytów na koncertach w Tarnowie.

Przez cały tydzień jeździłem do różnych szkół i ośrodków kultury. A to do Gromnika, do Kolbuszowej (skąd miła pani zawiozła mnie na spotkanie do oddalonej o kilka kilometrów Weryni). Pojechałem też do Ochotnicy Dolnej w Gorcach. Padał deszcz, dojazdowa droga słabo oznakowana, nie wiadomo gdzie Biblioteka, w której miało się odbyć spotkanie. Zaczepiłem jakąś babinę i pytam o Bibliotekę. „A to tam dalej” – usłyszałem. Więc jadę „dalej”, dojeżdżam do ostatniego domu we wsi, a tam... apteka. W końcu biblioteka i apteka mają identyczną końcówkę. Zawróciłem, pytając po drodze jeszcze jakichś ludzi. Jeden z mężczyzn oderwał się od roboty na budowie i podszedł. Poinformował mnie, gdzie ta Biblioteka, i w końcu zapytał: „pan Jurkowski?”. Zbaraniałem i mało nie padłem w błoto ze zdumienia. Już myślałem, że trafiłem pod strzechy niczym jakiś celebryta. Okazało się, że w Ochotnicy mieszkają całe rodziny Jurkowskich, a nawet jest hotel, zajazd i restauracja „Jurkowski”, co potem stało się przedmiotem żartów kolegów, zwłaszcza Janka Dydusiaka. Tak to „sława” na pstrym koniu jeździ, a raczej starą skodą felcją.

A po tygodniowym pobycie moja pstra (od wykwitów korozji) felcja zaniósł mnie do Warszawy na dziesiąty już Festiwal Poezji Słowiańskiej, organizowanej – jak co roku – przez Aleksandra Nawrockiego. Najpierw w Domu Polonii odbyło się spotkanie i prezentacja wierszy poetów zagranicznych. Następnego dnia, w Muzeum Literatury, Festiwal został oficjalnie zainaugurowany. Całość prowadził – jak zwykle – Aleksander Nawrocki wraz z żoną Barbarą. Było czytanie wierszy poetów polskich. Interpretowali je Marlena Zynger oraz Miłosz Kamil Manasterski. Dobra oprawa muzyczna urozmaicała tę artystyczną galę. Na sali dużo młodzieży z liceów warszawskich. Z pewnością z niektórych wyrosną artyści. Dwaj młodzi licealni poeci i gitarzyści wystąpili solo na estradzie. Bardzo miły dzień, potem w „Literatce” czytanie wierszy i spotkanie towarzyskie poetów.

Rozpruł się worek z imprezami literackimi, bo bezpośrednio po Festiwalu Poezji Słowiańskiej przyszedł czas na Warszawską Jesień Poezji. O tym wszystkim (i jeszcze paru innych sprawach) napiszę Pani w następnym liście. A to już będzie odcinek grudniowy, a więc świąteczny. To nic. Na chwilę cofniemy się do jesieni, a potem... Zapowiadają ciężką zimą, ale ja w to nie wierzę. A zatem ciepło Panią pozdrawiam -

Stefan Jurkowski

